

Wyprawa na Ural

Aktorzy Ził i Izi oraz dwie panny Africa (piękna, posłuszna i gotowa do poświęceń japonka) i Aprilla (wysoka, ciemna włoszka o narowistym charakterze, o czym niejednokrotnie mogliśmy się przekonać) obie jeszcze niepełnoletnie, ale doświadczone, gotowe na jazdę bez trzymanki.

Wyprawę tę popełniliśmy pamiętnego roku pańskiego 2003 który, jak mało który, zaliczamy do udanych. Pomimo licznych luk w pamięci.

Dzięki niesłychanemu zbiegowi okoliczności na pokładzie Africy znaleźliśmy aparat fotograficzny, który posłużył do uwiecznienia wyprawy (a nie zawsze tak bywało).

Wychodząc w piątek o 17.00 z pracy dowiedzieliśmy się, że mamy 2 tygodnie wolnego, że 2 tygodnie i w tym samym czasie to cud chyba jakiś, bo jeszcze się coś takiego nie zdarzyło. Z roboty do domu mamy 11 minut drogi, tyle potrzebne nam było na zaplanowanie wszystkiego w najdrobniejszych detalach (dużym ułatwieniem był sklep z artykułami spożywczo-monopolowymi, co pozwoliło zaoszczędzić czas) i nawet 1 minuta jeszcze została. Plan taki jedziemy tam gdzie wylądował Gagarin (taki kosmonauta pierwszy). To w okolicach Uralu chyba. Plan napięty, więc trzeba będzie gnać.

Przegląd sprzętów i pakowanie, jakieś 30 minut i już jesteśmy w trasie. Wolni. WOLNI. WOLNI.



17.41 - czterdzieści jeden minut po wyjściu z pracy. Dla umysłów ścisłych, prosimy o podanie odpowiedzi na następujące pytanie: "Ile minut przed tym zdjęciem byliśmy w monopolowym?"- odpowiedzi słać na adres www.spontan.com.pl nagrody czekają.

Jedziemy patrząc na te nieszczęśliwe twarze mijających nas ludzi w samochodach, jadących z lub do pracy. Pierwszy nocleg przed granicą ukraińską.



Nocleg w hotelu 1000-gwiazdkowym

Rano okazuje się, że za nami cmentarz i to niemieckich żołnierzy. Rano pada też hasło - Czarnobyl. Może być. Ogień. Niestety nie dane nam było, chociaż kilkakrotnie próbowaliśmy i to z różnych stron. Wszędzie pilnują da się tylko lasami przejechać, ale jak złapią to polska ambasada do dziś by się gimnastykowała i tłumaczyła, a i gaz pewnie by już rok temu podrożał, że nie wspomnimy o ochłodzeniu stosunków. Nawet pomarańczowa rewolucja niewiele by pomogła.



Wjazd do Czarnobyla - słynnego ukraińskiego uzdrowiska.



Czarnobyl - inne podejście, też nieudane



Tu to pewnie nikt z 10 lat nie jeździł



O znowu zasieki i doły czyżby zamknięte.



Co za naród drzewa padły ludzie żyją (ta pani ma 22 lata).

Elektrownia nie znajduje się w Czarnobylu tylko Prypeci. Tam jest reaktor. Okolica straszna i piękna. Piękna przyroda, straszna, bo wysiedlili wszystkich ludzi i nieswojo straszy pustkowiem. Są wioski gdzie 90% domów jest opuszczonych i popadają w ruinę, a tylko w nielicznych żyją ludzie. Młodych prawie wcale, zostali tylko ci co nie mają żadnych perspektyw. Nic to dalej, nocleg pod Kijowem nad jeziorkiem. Rano na śpiworach kałuże wody, zaczął padać deszcz.



Cholera, że też musiało zacząć padać

Mieliśmy ominąć Kijów, więc robimy godzinę odpoczynku. Następne godziny same się zrobiły. Mijając znak Kijów Africa wydają dźwięk podobny do 'pędzącego radośnie prosiaczka' i nic dalej jedzie, ale niepokój zasyany. Staję, no tak to cholerne łożysko w tylnym kole, które miałem wymienić przed wyjazdem padło.



Tereny zielone w wielkim mieście

No fajnie dzisiaj niedziela, obce miasto, a do tego okazuje się jeszcze, że to Dzień Niepodległości Ukrainy, żeby nas dobić chyba. Cała Ukraina bawi się i śpiewa. No czad. Ale, ale niedaleko bazar. Wojtek idzie, może coś znajdzie, ja w tym czasie mam zamiar opalać się na chodniku. Tylko Wojtek zniknął zatrzymuje się jakiś koleś, ja już z daleka widzę katanę (po ichniemu żyletę) na której dużymi literami jest wyszyte Silver Bulets MC Ukraina (www.silverbullets.com.ua). Jesteśmy w domu, jesteśmy uratowani, motocyklista tubylczy. Koleś nazywa się Sirota, ksywka taka, jechał właśnie do klubu. Z okazji Dnia Niepodległości mają imprezę. Jesteśmy oczywiście zaproszeni. Kilka telefonów, części już są, nawet simering się znalazł, chociaż nietypowy.

Czekamy na Wojtka, w międzyczasie gadka-szmatka jak u was, jak u nas, szybkie naświetlenie sytuacji. Ok. jedziemy do Sirotki, montujemy łożysko, zostawiamy sprzęty i na imprezę. Po jednego kolesia, po następnego, odwiedziny kolesi którzy odeszli na zawsze (tego nie zapomnimy chyba nigdy). Impreza jest 20 km za Kijowem i tu muszę się przyznać, że były takie 3 sekundy, że zacząłem myśleć znowu mniej pozytywnie. Jak ja znajdę Africę w 3 milionowym bliżej mi nieznanym mieście, przecież nawet nie wiemy gdzie sprzęty zostawiliśmy. Ale co tam trzeba brać życie jakie jest. Ludzie, żebyśmy my tak potrafili się bawić jak oni pozazdrościć, może bym wtedy przestał myśleć o wyniesieniu się z tego kraju. Tak nam zeszło w Kijowie 2 dni, generalnie było fajnie czyli jasno-ciemno-jasno-ciemno.

Dopiero tydzień później Wojtek przyznał się że kupił wszystko na bazarze, ale nie mogliśmy odmówić takie gościnności. Byłoby tych dni pewnie więcej, ale oglądając swoje

paszporty Sirota z przerażeniem stwierdził, że celnicy wbili nam pieczętkę - 3 dni tranzyt - i jeszcze do tego wpisali jakim przejściem mamy opuścić gościnną Ukrainę. Trzeci dzień właśnie mijał, ale co my nie damy rady, damy i to że przejście było w całkiem przeciwnym kierunku niż chcieliśmy jechać też nam planów nie pokrzyżuje. Wyjazd szybki, pożegnanie też.



Jak to się stało żeśmy stali na tym zdjęciu?



Czemu ten gość oddał się z naszym aparatem?

Do granicy jeszcze ze 100 km deszcz za nami, ciągle mu uciekamy Wojtek zaczyna coś machać. Stajemy. Coś się stało. Aprilla gaśnie jak jedziemy poniżej 60km/h. Krótka wymiana spojrzeń z Aprillą - do granicy musisz dać radę. I dała.



Ostatnia kolacja na Ukrainie, czyli islamski napad na radziecką konserwę.

Przejsie przekraczamy w całkowitych ciemnościach i błocie (remont) koło 23.00. Chcieli jak zawsze naciągnąć na parę \$, ale tym razem się nie daliśmy, choć mało brakowało. To pewnie zmęczenie we znaki się dawało i odpoczynek w Kijowie.

Po przekroczeniu granicy zjeżdżamy gdzieś w żyto i w kime. Browar na pół podział jak kowalski młot. Rano decyzja kierunek Kursk (wtedy było głośno o tym mieście za sprawą łodzi podwodnej)



Kursk zdobyty.



Środkowy pas jak zauważyliśmy był tylko dla jednośladow. Poza tym to był dziwny most, było pod górę.



Sierra po zderzeniu z Ziłem(dobrze, że tylko przechodził a nie jechał) do dziś boli go kolano.

Rano zapalamy, wciskam sprzęgło, zrywa się linka, na to czekałem. Od roku jeździłem z naderwaną. Wymieniamy na nową. Jak tak to przyjrzyjmy się jeszcze co dolega Aprilli. Okazało się, że z gaźników spadły kapturki które zaślepiają rurki z podciśnieniem i brała chyba lewe powietrze (wszystkim którzy zrozumieli to zdanie stawiam browaraJ) Strugamy ładne kijki, wbijamy gdzie trzeba i na Kursk. Stwierdzamy, że trzeba trochę nadrobić. Walimy teraz po 1000km dziennie (dla tych, którzy wiedza o co chodzi powiem tylko - cegła odbita na 4 literach, reszcie nie będę tłumaczył jeszcze wszystko przed wami. W sumie 9000 km, odliczając dni takie jak w Kijowie, zrobiliśmy w 11 dni. To się nazywa odpoczynek). Znajdujemy po nierównej walce miejsce lądowania Gagarina.



Gagarin wiecznie żywy.



A teraz to my wylądowaliśmy



Tu lądował pierwszy kosmonauta.

Cel osiągnięty zaczynamy powoli wracać. Wieczorem chyba było za dużo browarów, ktoś rzuca hasło - może Krym - lub coś koło tego. Pada na podatny grunt. Jak tak to idźmy na całość. Kałmucja, Krym, Mołdawia, Rumunia i co tam jeszcze, a co (tym bardziej, że brak

nam wiz do Mołdawii). Poranek, każdy wiedział co robić. Kałmucja kraj skośnookich którzy mieszkają w Europie, muszę się sam o tym przekonać, przecież w szkole uczyli całkiem inaczej (zresztą z historii także, ale to sprawdziliśmy już kiedyś, Katyń to nie puste słowo). Trochę teraz o drogach. Główne są ok chyba, że jest remont lub objazd (w 90% przypadków nie jechaliśmy objazdem, motocykle jakoś przejeżdżały).



Tu była pierwsza gleba. Było ciężko.



Ten objazd też zignorowaliśmy

Gorzej było z niektórymi bocznymi drogami, ale generalnie trafiliśmy na suszę i wszystko było w miarę przejezdne.



Asfalt rozwijają tylko w dni powszednie - zdjęcie na 907 kilometrze autostrady A11.



Skrzyżowanie ze słynnym Bursztynowym Szlakiem autostrady A11. 6934 kilometr 6 dni po zdjęciu z 907km, na wschodzie bez zmian.



Stepy Akermańskie.



Same stepy.



Po naszej zimie to nic takiego.

Wg mapy, najnowszej wtedy, Michalina na naszej drodze miał być most, niestety tubylcy nigdy o takim wynalazku nie słyszeli. Zdarzało się też odwrotnie czasami.



Tu na ten przykład miał być most.

Chyba się uda, wg rozkłady za 1,5h ostatni rejs, a jesteśmy pierwsi. Oj słowiańska duszo naiwna. Kapitan przy płynął o czasie, ale spotkał kolegę ze szkolnych lat i poszli się posilić. Czyli dzisiaj już nie popłyniemy.



Rozkład jazdy zupełnie nieprzydatny

Tłum ludzi nic, zero reakcji, rozszedł się do samochodów i poszedł spać tylko my jak debile nie wiedzieliśmy co ze sobą zrobić. Dopiero chyba wtedy zobaczyliśmy, że tu żyje się inaczej, czas biegnie inaczej, nikt jeszcze się nie spieszy jak u nas.

Ta noc na pewno wiele zmieniła w naszym myśleniu, nastawieniu do otaczającego świata. Najgorsze były nocne rozmyślenia w stylu dokąd zmierza świat, moje miejsce na ziemi, po co to wszystko jak dookoła tylu szczęśliwych ludzi bez naszego wyścigu szczurów itp. itd. to nieźle potrafi zdolować.

Kapitan okazał się człowiekiem z honorem i nadrobił wczorajszy kurs robiąc jeden dodatkowy przed rozkładem. Wiązało się to tylko z trzema godzinami snu mniej, naszego też.



Załadunek na prom w kolejności: kamazy, autobusy, busy, osobowe, motocykle

Tam poznaliśmy ludzi wożących kamazami arbuzy (generalnie Kałmucja to chyba zagłębienie arbuźców, sprzedaż tylko hurtowa). To oni nauczyli nas jeść dynie cha,cha,cha. Tu mała opowieść. Często się zatrzymywaliśmy kupując arbuzy, ludzie sprzedawali też coś co nazywali :dynia. Chyba Wojtek (ginie to w pomrokach dziejów) wymyślił, że tego się nie je na surowo tylko gotuje na zupę (pomogły mu chyba w tej teorii moje wywody oraz duże ilości wypitego piwa). Tak też dynie omijaliśmy szerokim łukiem. Dopiero poznani Azerbejdżanie poczęstowali nas kawałkiem (jak mówili) dyni. Nie wypadało odmówić.



Hurtownicy arbuźnicy - za chwilę poznamy prawdziwy smak dyni.

Dynia okazała się najcudowniejszym, jaki nam dane było skosztować, melonem (te zawilości lingwistyczne kiedyś doprowadzą nas do śmierci głodowej), tak że po tygodniu jedzenia (i sikania) arbużem przerzuciliśmy się wyłącznie na dynio-melony. Kałmukstan

jest bardzo fajny, tylko nie wiemy dlaczego wszyscy Rosjanie ostrzegali nas przed nim. Jedyne problem to, to że jest strasznie monotonna. Ciagle tylko trawa i trawa żadnych drzew, nawet na postojach chowamy się w cieniu motocykli.



Obiad - 3-ty dzień a krajobraz taki sam (brak drzew). Może chociaż jedno małe drzewko?



Gdzie do cholery są te drzewa.

Udało nam się pojeździć na wielbłądach i wysłuchać kilku ciekawych historii. Każdy w tej krainie chyba jest potomkiem Dżyngis Hana.



Wielbłąd, co tu robi wielbłąd. To w tle to prawdziwa jurta, więc nie trzeba jeździć do Mongolii aby je zobaczyć.

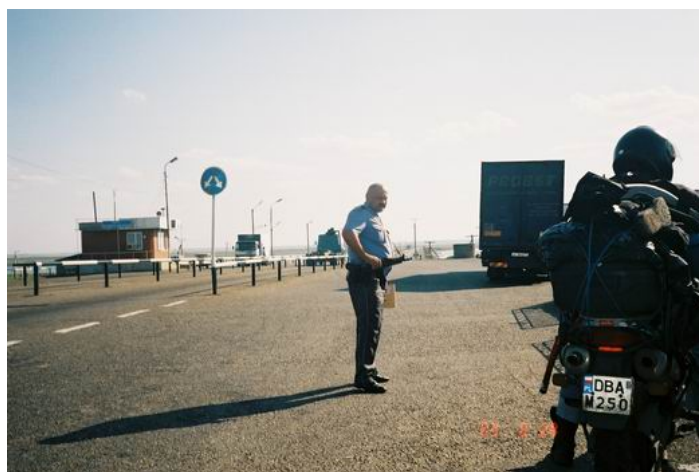


Ził po przepiciu. Proszę zwrócić uwagę na sflaczałe i wypróżnione garby. Brak piegów to tylko zmyłka przeciwnika.

Z Elisty (stolica Kałmucji) kierujemy się w kierunku Wołgogradu (Staliningradu). Klótnie gdzie była bitwa o Staliningrad trwały przez cały wyjazd. Czasami jeszcze trwają. Po powrocie opowiadaliśmy znajomym, że widzieliśmy Wołgogradzie wielki pomnik Nike z mieczem. Zostaliśmy uświadomieni, że jest to największy pomnik na świecie. Fakt był wielki. Człowiek całe życie się uczy.



Nie pytajcie co działo się po podniesieniu rogatek. W Wołgogradzie (od czasu wielkiego oblężenia) drogi dzielą na jednokierunkowe, dwukierunkowe, bezkierunkowe, przeciwniekierunkowe, wprostproporcjonalniekierunkowe, prawo, lewo, i ogólnie stronne. Byliśmy jedynymi motocyklistami którzy opuszczali ostatni skrzyżowania.



Broń automatyczna jest tylko ze względu na 'dziką jednośladową zwierzynę'.

Z Wołgogradu kierunek w okolice Morza Czarnego. Plan pierwotny zakładał powrót przez Turcję, ale odpuszczamy. Musielibyśmy jechać w konwoju przez Czeczenie. Z rozmów z kierowcami tirów dowiedzieliśmy że może to trochę potrwać, a mamy coraz mniej czasu (urlop się kończy). Nad Czarnym Morzem chwila oddechu na kamienistej plaży. Zwiedzanie, opalanie, takie tam.



Z kolacją trzeba się najpierw pobawić



Tak to jest jak spotyka kapitan kapitana

Atrakcji więcej niż nad Bałtykiem. Zaprzyjaźniamy się z kilkoma policjantami tak, że możemy śmigać jak chcemy i gdzie chcemy. Potem promem z małymi przebojami, jak zawsze chodzi o kasę, na Ukrainę na Krym.



O jakieś miasto chiba.



Kolega z pl.rec.motocycle uznał nas za niepoważnych, ze względu na strój, dlatego z nami nie jeździ.



Izi, czaple i nosorożce.

Na Ukrainie znowu z małymi przebojami. W ogóle Morze Czarne i jego obrzeża to pełna cywilizacja. Tak z nudów chyba objechaliśmy cały półwysep krymski wzdłuż linii brzegowej, raz tylko wjeżdżając do bazy wojskowej statków wojennych. Też było fajnie. Śmigamy po kamieniołomach.



Tędy mamy jechać, poszaleli. Ten biały punkt to wyłaniająca się z otchłani Africa. Odkrywamy klasztor i cerkiew wykute w skale i zamieszkałe.



A tu znowu poszaleli żeby w skale mieszkać.



Gdy na dupie odcisk cegły.

Generalnie Krym jak Lazurowe Wybrzeże czy S.Tropez super hiper jest. Wymyśliliśmy nocleg nad morzem, bo komary zaczęły troszeczkę gryźć (tzn. nie dało się wytrzymać), a od morza taki fajny wiaterek, że pewnie ich nie będzie. Przyznaję się moje to słowa były. Pośmigaliśmy trochę po plaży, zakopaliśmy dryndy i poszliśmy spać. Tzn. chcieliśmy iść spać, ale się nie dało. Chyba nie jesteśmy przyzwyczajeni do szumu fal. Odczucia jakbym głowę trzymał w beczce, a ktoś w nią nieźle napie.... Musieliśmy się nieźle znieczulić żeby zasnąć.



Próba noclegu.



Wolną Ikarusa nie przebijesz.

Rano budzi nas jakby wycie skopanego psa. Koledzy w turbanach modlą się z meczetu przez mikrofon, tak dla pewności co by ich każdy maluczki robaczek rano usłyszał. Teraz szturm na Odessę. Miasto bogate to widać. Słysząc, że do Turcji niedaleko. Kto będzie

polecamy Arkadię, ale TYLKO WIECZOREM. Takie miejsce gdzie skupia się całe życie nocne. Knajpa koło knajpy, mnóstwo imprez, lokali, dyskotek każda w innym stylu, a jakie panny fajne. Prawie jak u nas.



Takie (przykładowe disco) w stylu Salvadora Dali (zdjęcia z nocy nie wyszły) z basenem i wejściem do morza.

W Odessie zapodajemy hotel. Wzięliśmy namiot, ale go do tej pory nie rozkładaliśmy. Po powrocie okazało się, że ani razu nie odpięliśmy go od motocykla. Z hotelem też były jaja. Fajny secesyjny z zewnątrz. W środku winda XIX wiek, schody marmurowe itp. itd. Ale za to pokoje to już wczesny Gierek. Woda tylko do 20.00 i to zimna, bo jakieś obchody miasta są. Takie logiczne wytłumaczenie.



Taki widok z okna hotelu mamy.



Biedna Odessa.

Zaparkowaliśmy moto na ulicy przed hotelem, bo nie chciało nam się szukać parkingu. Rano afera. Na dzień dobry mamy opiernicz, bo policjant przez całą noc musiał pilnować naszych sprzętów. Wot kultura. Postanawiamy sforsować jednak granicę Mołdawską (brak wiz chwilowo nam w tym nie przeszkadza, a poza tym chcieliśmy udowodnić naszej jednej koleżance, że takie rzeczy da się zrobić i jest bezcelowym odstraszać prawdziwych łowców przygód w motocyklowych publikacjach, Blondi udało nam się uha).

Z Odessy są dwie drogi w kierunku Rumunii. Ta bliżej morza jest przez most nad zalewem. Przetestowali ją nasi znajomi 3 tygodnie wcześniej, ale musieli się odbić od granicy mołdawskiej i żeby wjechać do Rumunii okrążyli cało Mołdawię. Wybieramy tą drugą. My oczywiście nie wierzyliśmy, że jedyna droga do Rumunii biegnie przez Mołdawię. Teraz możemy powiedzieć, tak jest nikt nie wybudował drogi przez deltę Dunaju.

Próbujemy sforsować deltę. Z mizernym skutkiem. Statki co prawda jakieś pływają i od biedy po trapie da się wprowadzić Africę i Aprillę (oczywiście za małą opłatą). Problem polega nawet nie na tym jak się celnikom wytłumaczyć z takiego towaru na statku (przecież zawsze można to jakoś załatwić). Problemem jest to, że w Rumunii nie zatrzymują się, tylko dopiero w Bułgarii, co niestety nie jest nam na rękę. Startujemy więc do granicy mołdawskiej tam po jakiś 40 godzinach i wielokrotnych próbach udaje się przejechać (z tego miejsca pozdrowienia dla Walentyny Iwanownej bez pomocy której zaoszczędzilibyśmy pewnie z 39godzin i mołdawskich celników, którzy gościli nas czym chata bogata czyli nasionami dyni i herbatą bez cukru). Jest to opowieść na osobny artykuł. Ważne że w końcu bez przeszkód (a to dobre He,He,He) docieramy do Rumunii.



Mołdawia i my.

Dalej to już nuda tzn. Rumunia może i jest biedniejsza o Polski, ale to pełna cywilizacja. Daje się to odczuć już na granicy. Wszyscy uśmiechnięci, pomocni po angielsku i szkopsku można się dogadać, zielona karta działa. Pełna panie kultura. Ludzie życzliwi (nie żeby gdzie indziej było coś nie tak) tylko tu jakoś to najbardziej nas zachwyca. Jest tylko mały problem poza miastami czy takimi miejscami jak przejścia graniczne. Jedynym słowem jakie rozumieją obie strony jest 'Polonia'. Trochę endurzymy na ile sprzęty i możliwości pozwalają. Rumunia to raj enduro i basta. Tak że tracimy jakieś szyby, lusterka takie różne wystające z motocykla gadzety, zupełnie okazuje się zbędne. Widzimy tabory porozkładane na rzekę. Wozy zaprzężone w woły czy krowy (nie wiem tu prosiłem kolegę Ziła biolchemiste o pomoc, jednak gdy on tylko znikną, by rozwikłać tę zagadkę, okazało się, że z biologii to on nie był taki kozak, ale chemie miał w jednym paluszku, jaki oni mają cudny bimber). Mieszkam na wsi, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Raczej tylko słyszałem z dziadkowych opowieści, to świat który odszedł i tam pewnie zginie za lat kilka, szkoda to wielka. Południe wydaje się nam biedniejsze niż północ.



Tu wykonałem właśnie back flipa (polskie tłumaczenie salto w tył).



Mosty mają precudne. O dziwo wytrzymał, a nie wyglądał.



Żeby nie było wątpliwości, tniemy autostradą. Najgłówniejsza droga w okolicy, a i znaki międzynarodowe.



Mówiłem nie zbaczać na czerwone drogi.



Ani na żółte.



Dobrze że postavili nowy most, stary był już troszeczkę sfatygowany.

Postanawiamy, jeszcze tu kiedyś wrócimy. Leniwie jeździmy po ichnich drogach kierując się powoli w stronę domu.



No nie znowu obóz cygański (ale bimber pędzą dobry).



Ci nigdzie nie pędzą zostali gdzieś między XIX a XX wiekiem.



Do tej pory nie wiemy co to może ktoś pomoże rozszyfrować.



Może kawałeczek chociaż prostej co by 2 bieg wrzucić.



Jechać nie jechać? - oto jest pytanie.

Potem to już przelot, robimy ciurkiem Węgry, Słowacja, Czechy, Polska. O takich rzeczach jak przebita opona czy urwana, o 2.00 w nocy, linka gazu nie ma co wspominać, to pierdy. Docieramy do domu koło 16.00 mycie, spanko i już o 7.00 do roboty. Otwieram oczy i wyświetla mi się napis 'nie ludzie, nie ludzie, co ja tu robię, gdzie tak pędzę, może już czas to zmienić, póki nie jest za późno'. Rano mija nas jakiś motocyklista. Widzę w jego oczach, to co czułem 15 dni temu - JESTEM WOLNY, WOLNY.

Podsumowanie: Obiecujemy, że nie będziecie mieli okazji czytać opisów z wyprawy do Chorwacji w powyższym składzie, gdyż nie interesują nas dwudniowe wyjazdy a poza tym w niedziele zawsze musimy być u babci Marysi na rosołku i kluseczkach 'a'la Lanckorona' pod pierzynką skwarek z boczku. Acha, Rumunia nas zachwyciła przyrodą, w Mołdawi są przepiękne kobiety, będąc na Ukrainie trzeba koniecznie spróbować barszczu i soljanki, w Rosji mają dobre piwo, w Polsce uważać na radary.

Tekst i zdjęcia: Izi i Ził oraz Piast dobry kompan wielu podróży. Praw nie zastrzegamy, bo ich sami nie mamy. Uhaha.

Pamięci Wojtka "Ziła" Jasińskiego